



DOES IT HURT?

Autorka bestsellerowej powieści *Haunting Adeline!*

H.D. CARLTON



Tytuł oryginału

Does It Hurt?

Copyright © 2022 by H.D. Carlton

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agata Bogusławska

Korekta:

Alicja Szalska-Radomska

Edyta Giersz

Estera Łowczynowska

Redakcja techniczna:

Michał Swędrowski

Projekt okładki:

Paulina Klimek

Druk i oprawa:

Abedik S.A.

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8362-301-6

H.D. CARLTON

**DOES
IT
HURT?**

Tłumaczenie
Dawid Świonder

Ostrzeżenie

Powieść ta jest utrzymana w konwencji dark romans i zawiera poruszające sceny przemocy, morderstw, wulgarny język, wzmianki oraz wizje dotyczące samobójstwa, depresji, lęku, PTSD, sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia, bycia rozbitkiem pośrodku morza i aktów seksualnych, na które nie wyrażono zgody wprost. Porusza także tematy kazirodztwa i pedofilii (bez opisów), maltretowania dzieci, gwałtu, porwań i innych form wykorzystywania.

W książce występują opisy czynności seksualnych przeznaczone wyłącznie dla pełnoletnich odbiorców. Wspomniane są pewne parafilie, jak autassassinofilia (podniecenie wywołane sytuacją zagrożenia życia), podduszanie, poniżanie i sadomasochizm.

*Młodemu rekinowi;
przesuń się, mały,
tatuś rekin jest już przy Tobie.*

Playlista

Temat przewodni:

Chris Isaak – *Wicked Game* (w wykonaniu Jessie Villa)

Pozostałe utwory:

Ed Sheeran – *Bad Habits*

Billie Eilish – *NDA*

Billie Eilish – *idontwannabeyouanymore*

Sasha Sloan – *Runaway*

The Neighbourhood – *Sweater Weather*

Croosh (feat. I.V.) – *Lost*

Seether – *Words as Weapons*

Hemming – *Hard on Myself*

OneRepublic (feat. Timbaland) – *Apologize*

Righteous Vendetta – *A Way Out*

Transviolet – *Under*

Lana Del Rey – *Born to Die*

nothing,nowhere. – rejecter

Emawk (feat. solace) – *Pilot*

MAALA – *Better Life*

Frank Ocean – *Lost*

Glass Animals – *Heat Waves*

Johnny Rain – *Harveston Lake*

Seether (feat. Amy Lee) – *Broken*

KALLITECHNIS – *Synergy*

Tablica na Pinterest

<https://pin.it/5OHlrMV>

Od autorki

Wszelkie aspekty języka i kultury włoskiej, z której wywodzi się Enzo, konsultowałam z osobą mieszkającą we Włoszech. Pamiętajcie jednak, że znaczenie niektórych fraz zależy od kontekstu i nie zawsze da się je przetłumaczyć dosłownie. Zawierający je słowniczek znajduje się na końcu książki.

Ekscytującej lektury!

*W niektóre dni jestem oceanem. W inne okrętem. Tej nocy zaś
jestem latarnią: stojącą na skraju klifu, rozświetloną.*

Vasiliki



PROLOG

Sawyer

Przestań się lampić, szmato.

Podryguję energicznie nogą i po raz milionowy próbuję się opanować. Daję po sobie znać, że się denerwuję. Ale jak miałabym się nie denerwować, kiedy gapi się na mnie siostrzenica męża kuzynki mojej matki?

Wygląda, jakby zobaczyła ducha – bo też duchem praktycznie byłam przez ostatnie sześć lat. Aczkolwiek nie do końca.

I właśnie dlatego muszę się dostać na ten cholerny lot.

Siedzimy na krzeselkach naprzeciwko siebie, czekając na samolot do Indonezji.

Po cholereę ona tam leci? Przecież już prawie Boże Narodzenie, do kurwy.

Sądząc po jej ubiorze – spódnica, marynarka, szpilki od Louboutina – to pewnie podróż służbowa.

Kurwa, kto podróżuje służbowo w szpilkach od Louboutina? Nieważne. Liczy się tylko to, że mnie zauważyła, a to niedobrze.

Pot ścieka mi po plecach i jestem prawie pewna, że mam już ciemne ślady pod pachami.

Obie staramy się wyglądać niewinnie.

Z wyraźnie udawaną nonszalancją powoli wysuwa telefon z kieszeni. Niby nic takiego, ale jej plamy pod pachami i fakt, że zerka na mnie co dwie sekundy, natychmiast ją zdradzają. Ostrożnie przykłada komórkę do ucha, próbując zasłonić ją prostymi jak druty włosami, jednak te są tak cienkie, że niemal przezroczyste, więc doskonale widzę, co robi.

Suka.

Ma mnie tu jak na dłoni, przez co nie wiem, dokąd uciekać. Nie mam jednak wyboru: albo się stąd zmyję, albo mnie znajdą. Chrząnić zatem zgrywanie niewinnej; tu chodzi o moje życie!

Chwyciwszy swój bagaż podręczny, wstaję i próbuję spokojnie się oddalić.

– Hej! – woła nagle.

Jebać to wszystko, a szczególnie ją.

Niemal ze łzami w oczach mieszam się w tłum. Za długo odkładałam wyjazd z kraju z obawy, że nakryją mnie w trakcie... A teraz jestem już tego praktycznie pewna.

Serce pędzi mi jak oszalałe, gdy kieruję się do sklepu z podarunkami, gdzie kupuję zapinaną bluzę z kapturem, spodnie dresowe i czapkę z daszkiem. Potem, popatrując za siebie, pędzę do łazienki, by się przebrać. Nawet tutaj panuje tłok. Zwieszam więc głowę i szybko wpadam do kabiny. Trzęsącymi się dłońmi spinam włosy w niski kok, wkładam bluzę, na głowę zakładam czapkę, a na nią naciągam jeszcze kaptur, aby ukryć resztę wystających kosmyków. Na końcu wciągam dresy na szorty.

Z nerwów jestem już cała spocona.

Myję ręce i biegnę do kasy biletowej. Zziębnięta, sapię w twarz dziewczyny za ladą, która rzuca mi zdziwione spojrzenie, zaskoczona moim nagłym pojawieniem się.

– W czym mogę...

– Potrzebuję bilet na najbliższy lot – przerywam. Z pośpiechu język prawie płacze mi się w ustach.

Dziewczyna mruga kilka razy, po czym kieruje wzrok na ekran monitora i wpisuje coś na klawiaturze.

– Jest lot do Indone...

– Nie ten – znów nie daję jej dokończyć. – Jakiś inny.

Mierzy mnie wzrokiem.

Wiem, wkurzam ją, ale to nic, czego nie mogłaby odreagować później z pomocą wielkiego kieliszka czerwonego wina. Ja natomiast walczę tu o uniknięcie spotkania ze swoim stwórcą.

– Może być Australia? Samolot odlatuje za czterdzieści minut.
– Biorę – odpowiadam i kładę na ladzie zwitek banknotów wraz z dowodem tożsamości.

Dziewczyna zerka na mnie obojętnie, drukuje bilet, a potem przelicza pieniądze. Kurewsko powoli.

– Brakuje ośmiu dolarów i dziewięciu centów – wypala.

Zwykle nie jestem nieuprzejma dla ludzi z obsługi klientów, bo wiem, jak niewdzięczną mają robotę. Niemniej jeśli namierzą mnie teraz z powodu głupich ośmiu dolarów i dziewięciu centów, zacznę krzyczeć, że to wszystko jej wina, i ucieknę. Mamrocząc nerwowo pod nosem, wyławiam z kieszeni banknot dziesięcio-dolarowy i rzucam go na ladę.

Dziewczyna bierze pieniądze ze złością w oczach i kontynuuje.

Raz za razem oglądam się przez ramię. Na szczęście na lotnisku panuje tłok; nie widzę też żadnych uzbrojonych ponuraków kierujących się w moją stronę.

– Ma pani bagaż?

– Tylko podręczny – wyjaśniam.

Po kilku kolejnych minutach dziewczyna nareszcie podaje mi bilet razem z resztą i dowodem tożsamości.

– Bramka 102. Terminal B.

Zamaszystym ruchem zabieram, co moje, i rzuciwszy jej szybkie „dziękuję”, mknę do bramki tak szybko, że torba obija mi się o nogi.

– Jeszcze ja! – wykrzykuję.

Pilnujący jej gość zasługuje na loda za to, że na mój widok się odsuwa, bym mogła przejść. Nawet podczas tej szaleńczej goni-twy sprawdzam, czy nikt za mną nie biegnie.

Dopiero kiedy samolot startuje, serce wraca mi z gardła do piersi. Mimo to wciąż denerwuję się z obawy, czy wieża kontroli lotów nie zawróci zaraz maszyny komunikatem o zbiegu na pokładzie.



ROZDZIAŁ 1

Sawyer

Rak smakuje jak gówno.

Zaciągam się głęboko, a mentol sunie po języku i wypełnia płuca razem z innymi chemikaliami.

Ile muszę się tego nawdychać, żeby w moim organizmie pojawiły się komórki rakowe wywołujące chorobę?

Gardło mi się ściska, buntuje przeciwko tytoniowi, aż zaczynam kaszleć. Odsuwam papierosa od warg, po czym wbijam w niego wzrok z wyrazem obrzydzenia na twarzy. Dym wylania się z moich nozdrzy i ust. Potrząsam ręką, oglądając szluga pod różnymi kątami.

Jarząca się na pomarańczowo końcówka i szary popiół, w który zamienia się bibułka. Ogień jaśnieje, jak gdyby chciał zachęcić mnie, bym znów objęła filtr ustami.

Nie ma mowy. Nadal nie widzę w tym nic pociągającego.

Wtem pojawia się czyjaś opalona ręka i odbiera mi papierosa, zanim zgaszę go w piasku.

– Daj, bo zmarnujesz.

Marszczę brwi.

Czy piasek jest łatwopalny? Założę się, że nie. Zbyt gęsty, by ogień mógł pożywić się tlenem wśród jego drobinek.

A gdyby tak polać go benzyną? Wtedy plaża na pewno wyglądałaby ładniej.

Pożar obejmujący linię brzegową błękitnego oceanu? Kto nie chciałby zobaczyć czegoś takiego?

Słonawa, delikatna bryza zaprasza moje jasne loki do zmysłowego tańca wokół twarzy. Zakładam je za ucho, bo jestem zbyt zmęczona, by nawet niedbale związać włosy z powrotem, i spoglądam na gościa siedzącego obok mnie.

Nieco zapuszczona, jasna czupryna opada mu w lokach na opalony kark. Za uchem dostrzegam tatuaż urzekającego sztyletu. Choć tak naprawdę wszystkie jego tatuaże są urzekające – a ma je wszędzie.

Wciąż nie wiem, jak mu na imię, ale przynajmniej ma świetnego kutasa. I tylko to się liczy. To i jego mordercza nikotyna. Nie jest raczej w moim typie, ale z poczucia samotności zadowoliliam się pierwszym gościem, na którego widok nie robiło mi się niedobrze.

– Jak myślisz, jakiego rodzaju raka od tego dostaniesz? – pytam, wskazując brodą papierosa, którego trzyma w dłoni.

Unosi brew, a jego niebieskie oczy błyszczą w świetle poranka.

– A bo ja wiem? Płuca to dość oblatany temat. Może krtań?

– Myślisz, że umrzesz?

Zaśmiewa się krótko.

– Mam, kurwa, nadzieję.

Potakuję i wyciągam rękę, niemo prosząc, by oddał mi fajkę.

Patrzy na mnie zdziwiony, ale po chwili ulega.

Kolejne zaciągnięcie. Tym razem smakuje trochę lepiej, choć cały czas mam świadomość, że karmię swoje płuca śmiercią.

Tak, teraz smakuje o wiele lepiej.

Fale rozbijają się głośno o brzeg, docierając aż do palców moich stóp o pomalowanych na błękitno paznokciach. Rozczapierzam je jak szpony, po czym zanurzam w piasku, zagarniając go ku sobie.

Ocean jest równie piękny, co nieobliczalny. W ułamku sekundy może zwrócić się przeciwko tobie. Wciągnąć w odmetry tak gwałtownie, że stracisz orientację, i zamknąć w przepastnej

paszczy, aż utoniesz lub skończysz jako pokarm czegoś jeszcze straszniejszego.

Ponownie głęboko się zaciągam. Zamykam oczy, skupiona na doznaniu, jakie wywołuje dym wypełniający płuca i w nich zalegający.

Papierosy to też rzecz nieobliczalna – wszak pożerają cię od środka i zabijają. Najpierw powoli, a potem nagle, raz na zawsze.

Dochodzę do wniosku, że lubię ocean.

I papierosy.

Ponieważ ja również jestem... nieobliczalna.

– Razem będzie sześćdziesiąt osiem dolarów i dziesięć centów – oznajmia kasjer z uśmiechem na twarzy.

– Za test ciążowy i paczkę fajek? – pytam z niedowierzaniem.

Zaśmiewa się.

– Niestety.

– Przecież to rozbój – mamrocę.

Nie wiem, czy mnie usłyszał, bo wciąż się uśmiecha.

Chętnie podebrałabym mu trochę tego samozadowolenia, ale po trzech tygodniach spędzonych w Port Valen bynajmniej nie czuję się w Australii bezpieczniej niż w Stanach.

Po wylądowaniu sprawdziłam serwisy informacyjne w Internecie: okazało się, że władze otrzymały komunikat o mojej obecności na lotnisku i prawdopodobnej ucieczce samolotem. Nie zdziwiłabym się, gdyby pomimo mojego przebrania dziewczyna z kasy biletowej zidentyfikowała mnie jako pasażerkę lotu do Australii. A nawet jeśli nie, to wystarczy, że wspomni o dziwnie zachowującej się dziewczynie, żeby policjanci podjęli trop.

Nie jestem bezpieczna w tym kraju – gdyby mnie złapali, natychmiast zostałabym odesłana do Stanów. Z kolei dalsza podróż wiąże się ze zbytnim ryzykiem. Postanowiłam więc, że

mimo wszystko zostanę tu na jakiś czas, a to oznacza, że pora, bym znów przybrała nową tożsamość.

Zawsze mogłam trafić w gorsze miejsce.

Port Valen to piękne, położone nad jasnoblękitnym oceanem miasto na wschodnim wybrzeżu, w którym aż roi się od turystów pragnących ponurkować w towarzystwie rekinów lub pozwiedzać rafę koralową. Od strony lądu z plażą sąsiadują masywne wodospady oraz głębokie leje krasowe¹ stanowiące szczególną atrakcję dla nurków, dalej zaś – fauna i flora w postaci mieniących się jasnymi odcieniami zieleni lasów, które przyciągają miłośników natury z całego świata.

I wszystko jest tu oczywiście piekielnie drogie.

Zaglądam do mojej styranej portmonetki z postrzępionymi nitkami pozacinanymi w suwaku i przeklinając samą siebie za znalezienie się w tej sytuacji, przeliczam, ile mam w banknotach i monetach. Powinnam oszczędzać, a zamiast tego marnuję swój cenny kapitał, ponieważ pragnę towarzystwa, a do tego postanowiłam kupić sobie coś wyskokowego na nerwy, które są tak skołatane, iż chyba żadna używka nie uchroni mnie przed załamaniem...

– Trzymaj – mówię z wymuszonym, drętwym uśmiechem.

Czuję się jak po wizycie u dentysty z mamą, kiedy pod wpływem zastrzyku z lidokainy² traciłam kontrolę nad mięśniami twarzy. Wtedy to dziwne uczucie mnie śmieszyło, ale teraz bynajmniej nie jest mi do śmiechu.

Chłopak podaje mi resztę wraz z produktami, a przy tym znów się uśmiecha.

Zaraz się wkurzę.

– Miłego dnia – ćwierka.

– Dzięki – bąkam.

¹ Naturalne, okrągłe lub eliptyczne zagłębienie terenu, powstałe nagle lub stopniowo. Do najsłynniejszych takich form należą np. Blue Hole w Morzu Czerwonym, Great Blue Hole w Morzu Karaibskim czy Crveno Jezero w Chorwacji (przyt. red.).

² Organiczny związek chemiczny stosowany do znieczulenia miejscowego (przyt. red.).

Chwytam torbę z zakupami i kieruję się do wyjścia ze sklepu, kłapiąc japonkami o brudne kafelki podłogi.

Przez ten cholerny test ciężowy wyprztykałam się z mojego skromnego kieszonkowego, które sama sobie wydzielałam. Mimo to wolę wiedzieć, czy nie rośnie we mnie mały obcy, niż żyć w strachu i obsesyjnie oglądać swój brzuch w każdej odbijającej światło powierzchni, zastanawiając się, czy faktycznie się zaokrągła. Dość mam już problemów na głowie i nie potrzebuję kolejnych.

Nie znajdują cię, Sawyer. Jesteś bezpieczna.

Potrząsam głową i z uporem maniaka wracam do tego zimnego, samotnego miejsca, w którym spowija mnie lęk.

Serio? Bezpieczna?

Jeśli naprawdę rośnie we mnie obcy, to tylko skomplikuje mi życie. Nie dam rady zajmować się dzieckiem i sobą. Już teraz ledwo sobie z tym radzę. W dodatku brak mi na to środków...

W głowie kłębią mi się wizje, jak trzymam na rękach jasnowłosego bobaska wydzierającego się wniebogłosy z głodu, z powodu brudnej pieluszki lub czegoś podobnego. Musiałabym go oddać do adopcji, bez dwóch zdań, a to złamałoby mi serce. A przynajmniej to, co mi z niego zostało.

Mój oddech robi się niespokojny, więc staram się opanować, ale z coraz większym trudem łapię powietrze. Czuję na policzkach ciepło słońca, gdy tylko wybiegam przez automatyczne drzwi na parking, a stamtąd na chodnik. Mało się przy tym nie wywalam przez te klapki.

Desperacko próbuję nabrać powietrza, ale ono grzęźnie mi w gardle.

Chociaż okres spóźnia mi się dopiero o tydzień, mocno się tym denerwuję. Cholernie mocno. Jeszcze nigdy się tyle nie modliłam. Pełna napięcia, co i rusz z nadzieją wyczekuję w toalecie, aż bogowie okażą mi łaskę i sprawią, że nareszcie będę mogła wrócić do używania tamponów. Podejrzewam jednak, że w Nie-

biosach figuruję raczej na liście dusz straconych. Z jednej strony chciałabym się zbuntować przeciwko takiemu traktowaniu, ale z drugiej nie dziwię się, że aniołowie wyparli się mnie przed obliczem Pana.

Powietrze niesie słonawy posmak oceanu. Czuję go na języku, wciąż wykonując głębokie wdechy, aż wreszcie moja klatka piersiowa zaczyna się rozluźniać. Zapach morskiej wody zawsze działał kojąco na moje umęczone atakami paniki lub dymem papierosowym płuca.

Na pewno będzie mi tego brakowało, kiedy znajdę sobie nowe miejsce pobytu. Zanim to jednak nastąpi, zamierzam podziwiać piękno Port Valen tak długo, jak będę mogła.

Ulice otacza zieleń upstrzona różowymi, pomarańczowymi i fioletowymi kwiatami. Za mną zaś znajdują się masywne klify, które – choć odległe o mile – wciąż prezentują się imponująco.

Mija mnie grupka kobiet w bikini składającym się ze stringów i biustonoszy.

Luz, jakim emanuje to miasto, jest wręcz urzekający. Powinam się chyba niepokoić tym, jak bardzo podoba mi się Port Valen – i to pomimo tych wszystkich zabójczych pajaków zamieszkujących ten kraj.

Szybkim krokiem docieram na przystanek autobusowy i siadam z westchnieniem, zwieszając między nogami torbę. Dostrzegam krążącego wysoko dzierzbowrona³, co tylko bardziej mnie niepokoi, bo przekonałam się już nie raz, że te ptaki to prawdziwe demony potrafiące zaatakować zupełnie zniemacka. Wciąż jeszcze mam przed oczami ostatnią taką przygodę, dlatego modłę się, by autobus przyjechał wcześniej.

Jednak mogłam się tu przywlec Starą Zosią, czyli vanem, który kupiłam w zeszłym tygodniu. To leciwy, maślanożółty volkswa-

³ Średniej wielkości czarno-biały ptak należący do rodziny ostrolotów (długość ciała wynosi około 40 cm). Zamieszkuje Australię i południową Nową Gwineę. W poczuciu zagrożenia, głównie w okresie lęgowym, odstrasza lub atakuje zwierzęta i ludzi, bijąc skrzydłami, drapiąc pazurami i dziobiąc (przy. red.).

gen, dokładnie taki, jakimi w latach siedemdziesiątych wozili się hipisi. Poszczyło mi się, ponieważ zapłaciłam za niego mniej, niż jest wart – po prostu dziewczyna, do której należał, zmarła, a jej ojciec chciał się go jak najszybciej pozbyć. Mieszkanie w samochodzie to znacznie lepsze rozwiązanie od szukania hoteli. Z drugiej strony nie mam tutaj prawa jazdy i nie czuję się komfortowo w ruchu lewostronnym. Ostatecznie pewnie rozwalę się gdzieś ze skutkiem śmiertelnym albo przymkną mnie za brak papierów.

W tym samym momencie dzierzbowron zaczyna śpiewać, jakby słyszał moje myśli i chciał podpowiedzieć, że pomimo ryzyka, jeżdżąc Starą Zosią, zyskam więcej. Na szczęście po sekundzie ptaszysko odlatuje.

Dygoczącymi jeszcze z nerwów dłońmi wyciągam z torby paczkę papierosów. Nie powinnam chyba teraz palić, ale myśl o śmierci zbytnio mnie kusi, a poza tym jestem za bardzo przestraszona, by tego nie robić.

Wstydzę się siebie i nie wiem, co to znaczy czuć się inaczej.

Tylko niech ci to nie wejdzie w nawyk, Sawyer. Masz już wystarczająco dużo szkodliwych przyzwyczajzeń.

Gdy tylko wkładam jednego do ust, uświadamiam sobie dwie rzeczy: zapomniałam kupić zapalniczkę, a obok mnie ktoś siedzi i gapi się, wręcz przewiercając mnie wzrokiem.

To starszy, mocno opalony mężczyzna z twarzą błyszczącą od potu. W wyciągniętej ręce trzyma pomarańczową zapalniczkę, niemal równie jaskrawą, jak moje japonki, z kciukiem na krzesiwie, gotowy, by dać mi ognia. Ubrany jest w znoszoną białą koszulę, a na głowie ma równie wiekową czapkę z daszkiem koloru khaki. Czuć od niego old spicem i solą.

Uśmiechnięta, przysuwam się do zapalniczki, na co on ją zapala. Z niejaką fascynacją obserwuję ogień powoli pożerający delikatną bibułkę papierosa. W słonym powietrzu zaczynają unosić się kręte, gryzące w oczy kłęby.

– Dziękuję – mówię, machając ręką, by odpędzić nieco dymu.
– Papierosa?

– Chętnie – odpowiada.

Podaję mu fajkę i przyglądam się uważnie, jak zapala, po czym się zaciąga, wskutek czego końcówka papierosa jarzy się na pomarańczowo.

– Próbowałem rzucić, ale jakoś mi to nie wychodzi – zagaduje.

Fakt, nałóg to paskudna sprawa i niełatwo z niego wyjść; nie powinnam się w to pakować... Nagle jednak ogarnia mnie fala euforii i dochodzę do wniosku, że może nie będzie tak źle. Spalę papierosa w kilka minut i sobie ulżę. Bo tylko tego mi teraz trzeba. Tego i dobrego towarzystwa.

– To chyba nasza natura, że nie potrafimy odciąć się od tego, co szkodzi nam najbardziej – mamroczę.

– Słuszna uwaga.

Uśmiecham się.

– Jak się nazywasz? – pytam, próbując zrobić kółko z dymu, zupełnie nieudanie.

Zaśmiewa się ochryple.

– Zapomniałem już, jak to jest być pytanym o imię przez ładną młodą damę. Simon.

Normalnie na taki tekst o „ładnej młodej damie” z ust staro dziwaka zareagowałabym ucieczką bez oglądania się za siebie, ale sposób, w jaki on go wypowiedział, bynajmniej nie przyprawia mnie o dreszcze. Kojarzy mi się raczej z tym, co powinno się czuć, będąc w domu, a więc z ciepłem, otwartością i bezpieczeństwem.

To poczucie komfortu sprawia, że robię coś, co rzadko mi się zdarza. Właściwie nigdy. Przedstawiam mu się prawdziwym imieniem.

– Sawyer. Dziękuję za towarzystwo, Simonie.

Po chwili milczenia nagle się odzywa:

– Chcesz zobaczyć mój nowy tatuaż?

Nieco zaskoczona, zamieram z papierosem w połowie drogi do warg, ale zaraz przytomnieję i chwytając filtr kącikiem ust, rzucam:

– Jasne.

Na to Simon podwija nogawkę bojówkowych szortów i moim oczom ukazują się czarne, nierówne linie układające się w napis „Pierdol się” na środku jego uda. Skóra wokół nich wciąż jest napuchnięta i podrażniona.

Czegoś takiego się nie spodziewałam.

Parskam pełnym zdumienia śmiechem, aż prawie wypluwam papierosa z ust. Nie żałowałam, gdyby tak się stało.

– O Boże, jest świetny. Podoba mi się nawet bardziej niż mój ulubiony palec u stopy. Bolało? – pytam i nachylam się, aby popatrzeć z bliska.

Widać, że nie robił tego profesjonalista. Właściwie to wygląda na całkiem beznadziejną robotę, ale chyba właśnie to podoba mi się w nim najbardziej.

– Nie tam – odpowiada, machając ręką. – Można to porównać do terapii. Nie bardzo rozumiem, o co chodzi z tym ulubionym palcem u stopy.

Podciągam kolano pod brodę i wskazuję palcem na lewą stopę.

– Nie uważasz, że ten najmniejszy jest całkiem uroczy?

Pochyla się, by rzucić okiem.

– Masz rację. Mnie też się podoba.

Z uśmiechem stawiam stopę z powrotem na ziemi i zawieszam wzrok na zniekształconych literach tatuażu Simona. Jestem nim zachwycona. Chyba przydałaby mi się jakaś sesja terapeutyczna polegająca na podjęciu nierozważnej i z lekka szaleńczej decyzji.

Zaciągam się dymem, po czym wypuszczam go z płuc, walcząc z narastającym we mnie impulsem.

– Gdzie takie robią?

Wzrusza ramionami.

– Sam go zrobiłem. Słyszałaś kiedykolwiek o tebori?

Kręcę głową, na co on wyciąga z kieszeni buteleczkę z czarnym tuszem i szczelnie zamkniętą paczkę szpilek.

Zdziwiona, że nosi przy sobie coś takiego, unoszę brwi. Przy najmniej używa jednorazówek, co napawa mnie ulgą.

– To tradycyjna japońska metoda. Kiedyś wykonywano je za pomocą bambusowych patyczków – wyjaśnia.

– I jak to działa?

Z jego opowieści wynika, że to dość prosty proces. Aż mnie kusi, by też sobie zrobić taki tatuaż. Na razie jednak nie mam luksusu w postaci hajsu na wizytę w porządnym salonie.

Gdy tylko otwieram usta, żeby zapytać, skąd bierze się takie gadzety, proponuje:

– Zrobić ci też?

Przechylam głowę i spoglądam na niego z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Tak – odpowiadam, potakując. W końcu pomyśl, by nieznajomy zrobił mi tatuaż na przystanku autobusowym, jest zbyt dobry, aby zmarnować taką okazję. Brakuje mi takiej czystej spontaniczności. – A co chcesz w zamian?

Pokazuje palcem moją torebkę z zakupami.

– Ta paczka fajek wystarczy.

Coś w jego spojrzeniu mówi mi, że bardziej zależy mu na pozabawieniu mnie tych papierosów niż na wypaleniu ich samemu. Ciekawe, czy zauważył, co jeszcze mam w torbie.

Uśmiecham się.

– Zgoda. Chcę taki sam. I w tym samym miejscu. Będziemy dopasowani.

Podoba mi się myśl, że będziemy mieć identyczne tatuaże. Czuję się przez to, jakbym znalazła przyjaciela w moim małym, samotnym świecie, kogoś, kogo nie zapomnę, gdy już opuścę to miejsce. Co jednak ważniejsze: podoba mi się przesłanie tego tatuażu, bo te dwa słowa serio przewijają się w mojej głowie każ-

dego dnia. Co więc innego miałabym sobie wytatuować, jeśli nie swoją codzienną mantrę?

Simon się uśmiecha, obnażając nieco koślawe zęby, i gestem ręki wskazuje, bym podała mu nogę. Ponieważ z racji panującego tu klimatu noszę wyłącznie szorty, bez problemu odnajdzie odpowiednie miejsce na moim udzie.

Właśnie nadjeżdża autobus, więc najwyżej przegapimy nasz kurs. Kolejny będzie za pół godziny – mnóstwo czasu na zrobienie sobie pierwszego tatuażu.

Mężczyzna otwiera buteleczkę i nalewa odrobinę tuszu do nakrętki, po czym rozrywa opakowanie szpilek.

– Atrament z kałamarnicy – oznajmia. – Najlepszy.

Przytakuję, choć nie bardzo mnie to obchodzi. Całe to przedsięwzięcie i tak nie ma wiele wspólnego z zasadami higieny. Jeśli moje ciało odrzuci atrament, to przynajmniej zostanie mi fajna blizna. Zawsze lubiłam kałamarnice, więc to całkiem ciekawe doświadczenie mieć część takiego zwierzęcia w sobie.

Fascynujące, z jaką łatwością znikają i stapiają się z otoczeniem... Sama chciałabym tak potrafić. Może z tym tatuażem będę mogła udawać, że tusz, zakrywając moje człowieczeństwo, pozwala mi zniknąć. Wtem przypominam sobie, że to życie, a nie film, w którym samotny dzieciak znikąd otrzymuje supermoce. Kwituję tę konstatację kwaśną miną. I chyba moja sympatia do kałamarnic też nieco osłabła.

Simon nachyla się nisko nad moim udem i uważnym spojrzeniem nadzoruje swoją zaskakująco pewną rękę, którą skrupulatnie nakłuwa skórę. Każde pojedyncze ukłucie wyzwala we mnie całą masę endorfin, na co momentalnie postanawiam, że uzależniam się od tatuaży. To zdecydowanie lepsze od papierosów.

Paczka należy już do niego, ale pozwala mi wypalić jednego w oczekiwaniu, aż skończy. Dla uspokojenia nerwów, jak sam stwierdził.

Na przystanku zjawia się jeszcze kilka osób, a ja z rozbawieniem obserwuję, że żadnej z nich nie zaskakuje widok dziewczyny, której ktoś robi tatuaż tebori podczas oczekiwania na autobus. Zupełnie jakby w Port Valen było to normą. Jeden gość zagaduje nawet, czy Simon i jemu nie zrobiliby dziary, ale ten odpowiada, żeby zgadali się na inny dzień.

Co za dziwne doświadczenie. Dało mi autentyczną radość, tak obcą, że odbieram ją jako coś lepszego od seksu, bo na co dzień tak niewiele jej odczuwam.

Nieznajomi mężczyźni zbyt gęsto się nade mną tłoczą, naruszając nietykalność cielesną. Mimo wszystko jednak to doświadczenie pozwoliło mi na chwilę zapomnieć.

Po dwudziestu pięciu minutach Simon prostuje się z grymasem bólu na twarzy oraz trzaskami w plecach od utrzymywania zbyt długo niewygodnej pozycji.

Mam poczucie winy, że przysporzyłam mu tyle kłopotu. Musiał wyczytać to z mojej twarzy, ponieważ posyła mi stanowcze spojrzenie, niemal jak ojciec upominający dziecko.

– Tylko się tu nade mną nie rozczulaj, młoda damo. Starość to błogosławieństwo, aczkolwiek słodko-gorzkie, jak zresztą każde błogosławieństwo.

Mimo to i tak jest mi głupio. Przytakuję mu jednak skinieniem, po czym pochylam głowę, by przyjrzeć się tatuażowi. „Pierdol się” napisane grubymi, czarnymi literami. Skóra pod i wokół nich się zaczerwieniła, co tylko uwydatnia ciemne, nierówne linie. Moja dziara wydaje się nieco staranniejsza niż ta Simona, niemniej obie prezentują się niechlujnie i niezgrabnie. I dobrze. Bo właśnie z tego powodu tak bardzo mi się podoba.

– Doskonały.

– Niedoskonały – poprawia mnie, przyglądając się swojemu dziełu.

– Doskonale niedoskonały – proponuję z tak szerokim uśmiechem, że aż bołą mnie policzki. To jednak przyjemny ból, przy-

wodzący na myśl doznania podczas nakłuwania skóry. – Wszystko, co najlepsze, takie jest.

Simon zapala kolejnego papierosa i rozsiada się beztrosko. Sprawia wrażenie człowieka czerpiącego z życia garściami, więc jestem ciekawa, jaka droga przywiodła go na ten konkretny przystanek, gdzie we wtorkowe popołudnie spotkał dziewczynę, której zrobił tatuaż.

– Zgadza się. Muszę przyznać, że jesteś dziwna.

Jego słowa odzwierciedlają moje myśli, na co tylko uśmiecham się szerzej.

– To tak jak ty, Simonie. Tak jak ty.

Spojrzenie, jakim się wymieniamy, mówi wszystko: bycie dziwakami w zupełności nam odpowiada.

Wtem, z głośnym warkotem silnika, nadjeżdża autobus. Drzwi otwierają się z sykiem, a ja wstaję i podaję Simonowi zgięte w łokciu ramię, jak gdybym proponowała, że odprowadzę go na bal.

On macha ręką, pokazując, bym wsiadła sama.

– Przejdę się. Moje stare kości potrzebują trochę ruchu, bo inaczej zestalą się na amen.

Marszczę brwi.

– Dlaczego więc siedziałeś na przystanku?

Wzrusza ramionami.

– Przechodziłem sobie, a ty wyglądałaś na kogoś, komu przydałby się przyjaciel.

Opuściwszy rękę, czuję dziwne, przenikliwe ukłucie w piersi. Rozczarowanie. Chciałam z nim jeszcze porozmawiać. Zapytać o to i owo, dowiedzieć się czegoś o mężczyźnie w styranych ciuchach, w których kieszeni nosi atrament z kałamarnicy.

Jego spostrzegawczość znowu daje o sobie znać, gdy zauważa konsternację wymalowaną na mojej twarzy. A może po prostu nie potrafię kryć swoich uczuć?

– Jeszcze się spotkamy, Sawyer. Życie ma zabawny zwyczaj krzyżowania naszych ścieżek, ale to od nas zależy, czy pozostaną złączone na stałe.

– Na stałe – mamrocę pod nosem. Pojęcie stałości jest mi obce. – Simonie, ty już jesteś stałym elementem mojego życia, podobnie jak ten tatuaż.

Raczy mnie uśmiechem, a w jego oczach pojawia się iskra zrozumienia.

– A zatem wkrótce znowu się spotkamy, prawda?

Czując się już trochę lepiej, podnoszę moje zakupy z ziemi. Szelest plastikowej torebki przypomina mi o reszcie jej zawartości, a wtedy uśmiech momentalnie znika mi z twarzy. Zbliża się moment prawdy, a Simon nie zapewni mi już odskoczni od tej rzeczywistości. Nagle samotna podróż autobusem wydaje mi się czymś wręcz upiornym.

– Mam taką nadzieję. Miło było cię poznać, Simonie.

Odwracam się i wsiadam do autobusu. Udo wciąż mnie piecze. Kupuję bilet w biletomacie, po czym siadam na tyle pojazdu. Ledwie zauważam, jak nagrzana jest sztuczna skóra siedzenia, klejąca mi się do nóg.

Przez okno spoglądam jeszcze na Simona, który macha na pożegnanie w momencie, gdy autobus rusza.

Przynajmniej nie musiałam iść do salonu tatuażu i korzystać przy tym z karty kredytowej ani wybierać pieniędzy z bankomatu. Jeszcze kilka dni i fundnę sobie konkretnego drinka.

A potem zacznę od nowa jako ktoś inny.

Ktoś, kto pożałuje, że kiedykolwiek spotkał Sawyer Bennett.